



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantoraeh pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## ŚWIAT.

**J**ak legenda stara gwarzy:  
Mrok był na przepaści twarzy  
A na wód posępnych straży  
Boży duch swe skrzydło kładł...  
Stań się!—światła się zbudziły,  
I z zastygłej, martwej bryły,  
Pełen życia, pełen siły —  
Wykwitł piękny: — ziemski świat.

Lecz legenda dalej gwarzy:  
Że gdy człowiek się rozmarzy,  
Gdy rozkwitnie mu na twarzy  
Zorza, a na piersiach kwiat,  
Pod tym kwiatem skrzy wspaniała  
Siła, która cuda działa,  
Która dąży, kocha, pała,  
I wytwarza—szczęścia świat.

Lecz legenda mówi dalej:  
Gdy wśród wrażeń szybkiej fali  
Duch artysty się rozpali —  
To jakby weń płomień wpadł!  
Pieśń na skrzydłach ulatuje,  
Dłuto twardy głaz kształtuje,  
Pędzel—cień i blask sumuje  
I powstaje—piękna świat.

Ale wedle baśni starej:  
Wszystkie złudne życia mary  
I doczesnych marzeń czary  
Lekki tylko kładną ślad,  
I jedynie—moc boleści  
W swym probierzu gdy pomieści  
Tę znikomość ziemskiej treści  
Wytwarza z niej—*prawdy świat.*  
*Szczęсна.*

## KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Wkrótce po lśniącej tafli prom przepełniony ludźmi odbił od brzegu.

Modre sukmany mężczyzn i takiegoż koloru czapki barankiem obramowane, pięknie wyglądają przy barwnych strojach kobiet.

Mocny zapach wonnego ziela i kwiatów ze snopków niesionych przez młode dziewczyny i gospodynie, napełnia powietrze.

W kolatorskiej ławce klęczy pani Helena, ze wzrokiem w wizerunku Najświętszej Panny utkwionym.

Niezwykła radość jaśnieje na jej twarzy. Po nieskończeniu długich dla jej macierzyńskiego ser-

ca kilku latach rozłąki, tęsknoty, trosk i niepokojów ujrzy ona nareszcie ukochane dziecko.

Zamieniają radosne spojrzenia z Amelią, jedną w tej chwili ożywione myślą. Wszak za godzin parę Janina będzie już z niemi.

Z chóru płynie słodka melodia dziwnie wzniosłej przez swą prostotę pieśni: „Gwiazdo morza któraś Pana mlekiem swoim karmiła...”

Towarzyszący śpiewowi akompaniament z pod paleców Cecylii brzmi rzewnie i głęboko, łącząc się z harmonijnie dobranymi głosami śpiewających dziewcząt. Wonny dym wznosi się z kadzielnicy, zmieszany z przejmującym zapachem ziół.

Szlachetna, siwymi włosami otoczona twarz kapłana jaśniejąca spokojem dusz wybranych, zwraca się ku ludowi. *Pax vobiscum* rozbrzmiewa wśród uroczystej ciszy, dym kadzieli w złotych blaskach południowego słońca przysłania uwieczony kwiatami obraz Bogarodzicy.

Nabożeństwo się skończyło. Z otwartych podwoi płynie tłum pobożnych.

Uroczysty nastrój ducha zgromadzonego ludu rozwiewa się powoli, ustępując miejsca niższemu pędowi natury ludzkiej.

Kobiety z dziećmi zatrzymują się przy kramach, wieśniacy dążą do długich stodół gdzie przekupki rozłożyły rozmaite przysmaki: tatarszane placki, krajanki sera, pierniki i kiełbasy.

Panie Krasnohorskie zaprosiwszy proboszcza zdążają ku jezioru wraz z nim i kilkoma dziewczętkami w białych, skromnych sukienkach. Są to siostry, które nawet podczas wakacji pozostają pod opieką Amelii.

Niecierpliwosć oczekiwania wzrasta z chwilą każdą, stając się nieledwie męczarnią.

— Spokoju, mateczko!—prosi Amelia, widząc pobladłą twarz pani Heleny i gorączkowe jej ruchy.

Ona sama jednak doznaje różnorodnych uczuć. Jaką powróci ta ukochana i czy też odleci znowu w świat, jak ptaszę wędrowną, czy pozostanie wśród nich?



Wzrok jej mimowoli zwraca się na Dembińskiego, który zstępuje właśnie z pośpiechem ze stopni pałacowych, by nadechodzących powitać.

— Przybyłem wcześniej od pań—mówi, całując rękę pani Heleny. — Poczciwy Walenty nie szczędził pracy i łódka mknęła lotem ptaka.

Wszyscy są dziś nastroszeni uroczyście; we wzroku Dembińskiego pali się gorączkowy niepokój, chociaż usiłuje przybrać twarz maską obojętności. Nie wolno mu przecież okazać nie prócz zwykłej życzliwości dla powracającej.

Wszak odrącono go niegdys.

— Jedzie, jedzie!—zawołało naraz kilka głosów. P. Helena tłumiąc wzruszenie, pośpiesza z Dembińską na werandę.

Powóz zatrzymał się przed gankiem. Smukła, wdzięczna postać niewieścia zsunęła się z lekka ze stopni powozu, chwila jeszcze—i oto klęczy u kolan matki dawna, młodzieńcza Jania, z piersią wezbraną szczęściem, z oczyma we łzach, które podnoszą jeszcze blask ich przepyszny. Jak nie wiele się zmieniła!

Rozwinęła się tylko jak kwiat wspaniały, na czole osiadła powaga.

— Jania, Jania! — rozlega się w około szepcący głosy.

Sędziwy proboszcz kładzie dłoń na głowie dziewczyny, z dawną dziecięcą pokorą schylającej się do jego ręki.

— Witajże, dziewczeczko, pomiędzy swoimi! A toż lękaliśmy się nie na żarty, żeby cię ten smok olbrzymi Paryżem zwany, nie połknął na zawsze.

— Tylko proszę mówić za siebie samego, księżulku, — śmieje się rozradowana Dembińska, tuląc w objęciach wzruszoną Janinę. — Co do mnie, nie wątpiłam ani na chwilę, że ten smok jak go proboszcz nazywasz, wróci nam Janię zdrową i niezmienną.

Jeszcze kilka serdecznych uściśnięć z Amelią i Cesią i zdziwiony, niespokojny wzrok Janiny błędzi po werandzie szukając Dembińskiego, którego twarz mignęła jej w przelocie, gdy wysiadała z powozu.

Wtem drgnęła nieznacznie.

Z pomiędzy krzewów ciepłarnianych ganek ozdabiających, wysunął się Dembiński i zbliżał ku niej z wolna.

— Witam panią! — mówi przytłumionym ze wzruszenia głosem, biorąc małą rączkę która drzeć poczyna w uścisku jego męskiej dłoni.

Na jedno mgnienie oka zapominają oboje o wszystkim. Serca zalewa im błogość niewysłowiona.

Na twarz obserwującej nieznacznie tę scenę Amelii bolesny przewija się uśmiech.

A więc uludne marzenia po raz drugi pogrzebać musi na dnie serca, tym razem już bez nadziei zmartwychwstania. W ciągu lat ostatnich spokój i swoboda Dembińskiego uspiły jej czujność. Zaczęła przypuszczać, że oddalenie i chłód Janiny pomalutko osłabiły jego uczucia. Obejście z nią samą przybrało przytem cechy tak serdecznej przyjaźni, taką czułą troskliwość ją otaczał, że do zmęczonego ciągnął walcą serca powoli wkładała się nadzieja.

Listy Janiny o Darskim, pochwały jakie mu oddawała, napełniały ją szczęściem. Czemużby los—marzyła nieraz—nie mógł wziąć na siebie roli opiekunczego geniuszu i nie sprawił, by Janina pokochała Darskiego, a Dembiński zwrócił się ku niej? Wszak to takie zwykłe dzieje!

I oto w jednej chwili jak bańka mydlana prysnął czar złudzeń!

Nie! Janina i Edward nie zapomnieli z przeszłości.

Obiad dopiero przyprowadził uczucia zebranych osób do równowagi.

Rozmawiano wesoło, pani Helena nie zdejmowała oczu z twarzy córki.

Silna jej wola wbrew najgorętszym pragnieniom serca nie pozwoliła jej wciągnąć tych lat kilku na wydatek, jakiby pociągnęły za sobą przyjazd Janiny do kraju, lub podróz do Paryża dla jej zobaczenia.

Długi które opłacała po śmierci męża, niepowodzenia Amelii w pierwszych latach założenia pensjonatu, zmuszały do odmawiania sobie wielu rzeczy.

— Cóż, panno Janino, czy zostaniesz z nami, czy też znów pofruniesz?—zapytał proboszcz.—We-

dług moich staroświeckich pojęć zawsze to lepiej kobiecie w domu, między swoimi. Wyszłabyś za męż, panienko, hodowałabyś zdrowe, hoże dzieciaki i tem z pewnością więcej przysłużyłabyś się społeczeństwu, niżeli uczonemi rozprawami.

Janinę oblał gwałtowny rumieniec. Poczuli, że spojrzanie Dembińskiego zawisło na niej badawczo.

— Niewiem jak długo zabawię w kraju,—odparła, spuszczać oczy. — Mam przyrzoną posadę bibliotekarza u lorda Arnburnsham. Warunki świetne, nie mam powodu odmawiać.

Pani Helena spojrzała na nią z wyrzutem.

— Nie zatrzuwaj mamie pierwszych chwil radośnych,—ozwała się Amelia, widząc żal matki i intuicyją kochającej kobiety odgadłszy trwogę Dembińskiego.

Była znów panią własnego serca jak zawsze, gdy o jego szczęście chodziło.

— A ja jednak mam nadzieję,—odezwała się Dembińska, — że jak się Jania rozejrzy w tem wszystkim co działała wytrwała praca Amelii i Cesi, to się może zawstydzi i przyzna, że grzechem byłoby oddawać obcym zdolności swoje i pracę, gdy na własnej niwie tyle palących kwestyi leży odłogiem, dla braku głów i rąk uzdolnionych.

A proboszcz na to:

— Otóż to właśnie! ślicznie pani dobrodziejka powiedziałaś. Mojem zdaniem, w razie gdy już inaczej nie można, lepiej jest ograniczyć swoje wymagania i zgodzić się z tem, aby praca przyniosła nam mniejsze materialne korzyści, jeśli w zamian za to, da nam przeświadczenie, że co straciło nasze własne ja, to zyska przez nas ogół. Nie są to wprawdzie pojęcia *fin de siècle* jak tam nazywacie, boć hasłem dzisiejszego społeczeństwa praca o ile można najbardziej produkcyjna. Jednakże ten, według mnie najszcześliwszy, kto na małym poprzestał i w życiu szuka wyższego i szlachetniejszego zadowolenia. Cóż mówisz na zacofane nasze poglądy p. Janiu?

— Nie znajduję bynajmniej aby były zacofanemi i godzę się z nimi najzupełniej—odparła Janina, wciąż zmieszana chmurnym wyrazem twarzy Dembińskiego i jego upartem milezieniem.

— A coż nasz doktor na to? — spytał proboszcz. Dembiński ocknął się z zadumy.

— Sądzę, że każdy wie najlepiej jaką drogę wybrać mu należy,—odezwał się sucho,—a poświęcanie wymagań i upodobań naszych dla dobra ogółu, nie ma racji bytu.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Były to zasady wprost przeciwne tym, jakie rządziły jego własnym życiem.

— Cóż cię tam za mucha ukąsiła, panie Edwardzie—rozmiał się proboszcz. — Toż nie dalej jak zeszłej niedzieli u dyrektora naszego, głosiłeś hymny pochwalne na cześć cichej, a tak użytecznej pracy panny Amelii.

— Czyż tylko mojej, księżę proboszczu?—ozwała się zarumieniona Amelia. — Wszak gdyby nie pomoc twoja i niezmordowana gorliwość, wszystkie moje i Cesi usiłowania odnośnie poprawy umysłowego i materialnego stanu naszych włóścian zarzeckich, nie na wieleby się przydały.

— Eh, co tam opowiadasz, panienko—bronił się poczciwy proboszcz.—Toż przez kilka lat przed twojem tu przybyciem kładłem im w głowy, że źle żyją i wszystko napróżno. Ale ja się zwracałem do starych, a tyś się wpiersz do młodych zabrała i dlatego wygrałyście sprawę. A wasz pensjonat? Toć ja tam już nie nie przykładałem, a przecież z różnych stron zjeżdżają się, by obejrzeć wasz zakład i wzór brać z niego. Rodzice za szczęście poczytują sobie, gdy mogą tu umieszczać swoje córki.

— A jednak ile to przetrwać trzeba było, nim się ludzie z twoim systemem pogodzili, Amelko—wtrąciła Dembińska.

Twarz Dembińskiego ożywiła się.

— Do panny Amelii można w zupełności zastosować słowa Pisma Świętego: „Po owocach ich, poznacie je“—powiedział, patrząc z uwielbieniem na Amelię.

Janinę drasnęły te słowa i spojrzenie. O niej, Dembiński nigdy nie wypowie podobnego zdania. A przecież i ona wszystkie swoje młode siły poświęciła gorliwej pracy chociaż w innym kierunku.

Wstano od stołu. Proboszcz śpieszył na nie-szporę, Dembiński mimo ogólnych próśb podążył za nim.

— Jaki on obojętny... — pomyślała Janina tłumiąc westchnienie. — Patrząc na niego wydaje mi się, jakoby pomiędzy nami nie istniało nigdy żywsze uczucie, jak gdyby chwila w której powiedział mi, że mnie kocha, była jedynie marzeń jakich odbiciem.

Wraz z odejściem jego, chmura smutka padła na jej promienne przedtem oblicze. Milszem nad dyplom, nad oczekujące ją w przyszłości zaszczytne zajęcie, byłoby dla niej jedno życzliwe słówko od niego, jedno kochające spojrzenie.

W kilka tygodni potem, życie w pensjonacie zarzeckim wrzało w całej pełni.

Śliczny ranek wrześniowy przed rozpoczęciem lekcji jeszcze, zgromadził w dużym ogrodzie założonym wyłącznie dla szkolnego użytku, liczne grono młodszych i starszych pensyonarek.

Młodsze pilnie pracowały, każda w małym uprawianym przez siebie ogródku, starsze zbierały nasioną i owoce, słuchając praktycznego wykładu botaniki. Przez otwarte okna znajdujących się w ogrodzie kuchni i mleczarni, gwar wybiegał wesoły.

Kilkanaście młodych panien w perkalowych fartuchach uwija się tam ochoczo. Jedne smażą konfitury, inne układają marynaty i konserwy, inne jeszcze pracują w mleczarni około nabiału.

W kuchni dyżurne panienki przyrządzają zdrowy i smaczny obiad. Wszystkie te czynności gospodarskie odbywają się pod przewodnictwem pani Heleny.

Zdrowie czerstwe i wesołość, jaśnieją na twarzach pracujących dziewcząt. Widać, że zajęcia swoje spełniają z zadowoleniem.

Janina siedzi na ławeczce astronomicznej pod cieniem wspaniałej lipy, z książką rozłożoną na kolanach.

Wzrok jej wybiega jednak ciekawie ku uwijającym się po ogrodzie dziewczętom. Zajmuje ją ten ruchliwy pełen życia obrazek, promienny uśmiech twarz rozjaśnia.

Na czele małej gromadki wstępno i pierwszoklasistek zbliza się Cecylia, z narzędziami ogrodniczymi zarzuconymi na ramię, z piosenką na ustach, którą powtarzają za nią dziecinne głosy.

Z pod szerokich skrzydeł słomkowego kapelusza wychyla się twarz jej świeża i zdrowa, pozbawiona zupełnie cech chorobliwych, drobne kształty wypełniły i zaokrągliły się, ze spokojem patrzą teraz na świat ciemnobłękitne jej oczy.

— Czy to ta sama wąta, blada schorowana dziewczyna, którą żegnałam zniechęconą, złamaną...—myśli, Janina, przyglądając się ze zdumieniem, gdy Cecylia wkrótce potem koszyk napełniony jabłkami zarzuca sobie na ramię. A jak odmłodziła! I ona, i Amelka wyglądają tak świeżo, jak gdyby czas oszczędzając je, zatrzymał się w biegu.

Nową myślą podniecona skinęła na Cecylię.

— Odpocznij tu przy mnie chwilę, Cesi—prosi—wskazując jej ławeczkę.—Nabiegałaś się i naschylałaś dosyć przy tem jabłkobranii. Podziwiam cię swoją i zręczność.

Cecylia postawiła koszyk na ławce.

— Nie nazwiecie mię już teraz *dzieciatką*, co?—pyta z uśmiechem szczerzego zadowolenia.

Janina wzięła ją w objęcia.

— Zdrowa, mocna dziewczyna! — mówi z przekonaniem. — Teraz już nie obawiałabym się wydać cię za męż, Cesi. Czy nikt dotąd nie zapukał jeszcze do twego poczciwego serduszka?

Cecylia zmieszana się.

Spokojny błękit jej oczu zmącił się, jak mąci się gładka toń jeziora, gdy ją wichur, zwiastun burzy poruszy nagle.

— Scieżka moja już wytknięta, — szepnęła po chwili, wymijająco. — Będziemy zawsze pracować razem z Amelką, co mnie napełnia szczęściem.

Janina przyglądała jej się uważnie.

— Przypuszczam, że rodzaj waszego zajęcia nie sprzeciwia się bynajmniej założeniu rodziny i miłości dla męża i własnych dzieci zgodzi się najzupełniej z przywiązaniem, jakie dla wychowanek swoich żywicie.

Cecylia milczała.

W umyśle jej zrywały się niekiedy jeszcze buntownicze myśli, z którymi przecież wzmocniony już teraz organizm walczył mężnie.



Wspomnienie Brunona, niezatarte przechowywała w duszy jak relikwie.

Odrącony przez Amelię był jej stokroć jeszcze droższym.

— Służyłabym mu jak niewolnica—szepiała nieraz w ciszy swego pokoiku, zalewając się łzami— a czuwała jak matka nad dzieckiem cierpieniem dotkniętem.

I przypominała sobie, że ją lubił niegdyś, że osłaniał ją delikatnie przed złościwością stryjenki, miał zawsze dla niej ciepłe, zycliwe słówko i może... może gdyby zdarzyła się sposobność zobaczenia go, zbliżenia... Wszak onaby nie wymagała wiele... Byle pozwolił czuwać nad sobą, ten jej ukochany, przez tamtą, która go poznać nie umiała—odrażony.

Ale Brunon nie zjawiał się już nigdy w Zarzeczu. Nie wiedziała nawet co się z nim dzieje.

— Panienska ma jakąś serdeczną tajemnicę— rzekła sobie Janina, obserwując bacznie zmienione nagle rysy Cecylii.

— O czem myślałaś teraz, Cesi?—spytała czule.—Pogodna przed chwilą twarz twoja zaszepiła się nagle i uczułam wyrzut, że to ja przyczyniłam się do tego. Powiedz, co cię zasmuciło, najdroższa?

Cecylia jednak choć oczy szklily się łzami, za nie tajemnicy swojej nie byłaby powierzyła nikomu.

— Upewniam cię, Janiu, że to nie ważnego— odezwała się wreszcie, otrząsając się z zadumy.— Smutek nawiedza mię już teraz coraz rzadziej; dzięki Amelce i pracy, która znakomitym bywa lekarzem.

— Amelka powinna dać dobry przykład i wyjść za mąż...—rzekła Janina.—Nie ślubowałyście chyba staropanieństwa.

— O Amelkę stara się Gołębiowski, — wtrąciła Cecylia zapanowawszy już nad chwilowem wzruszeniem.

Oczy Janiny radością błysnęły.

— I cóż, i cóż?—pyta gorączkowo.— A jaka to skryta! Nie mi o tem nie wspomniała...

— Amelka słuchać o nim nie chce.

— Czemuż to? Gołębiowskiego spotkałam raz u Malskiej w Paryżu. Podobał mi się bardzo,—mówiła Janina.— Widzę, że ja zabrać się muszę do wyswatania was, moje panny! — dokończyła żartobliwie.

— Zaczynaj od siebie, kochanie... — odezwała się Cecylia, patrząc z uśmiechem na śliczną twarz Janiny.—Mocno się dziwię, że cię już dotąd kto nie porwał? A cóż z Darskim?

Janina oblała się rumieńcem.

— Darskiego mogę ofiarować tobie lub Amelce—odparła żywo.—Dobry chłopiec i może się podobać...

— A więc?

Cecylia patrzyła na nią figlarnie, bo domyślała się, że pomiędzy Janiną a Dembińskim prędzej czy później porozumienie jednak nastąpić musi.

Janina spuściła oczy zakłopotana.

— Ja mam swój dyplom—szepnęła.—Zapracowałam na niego uczciwie. Mam też i charakter dość niepodległy i trudnoby mi było do kaprysów pana małżonka się nagiąć... Szerokie przytem zamysły roją mi się po głowie. Ambicya pecha mnie do pokazania niewiernym, że i kobieta na polu nauki przydać się na coś może.

— Więc istotnie zamierzasz nas opuścić?—spytała markotnie Cesia.— O! będzie to wielki cios dla matki twojej i Amelki, Janiu.

Oczy Janiny pobiegły w dal tęskne, rozmarzone. Za jeziorem, w blaskach słonecznych błyszczały dachy i kominy Zambrowskich fabryk, wieża kościoła, wyniosłe lipy.

Widok ten przykuł do siebie wzrok Janiny.

Dembiński od czasu jej powrotu rzadko ukazywał się w Zarzeczu.

— Jestem niezmiernie zajęty... — tłumaczył się, ilekroć pani Helena czyniła mu wymówki.

A tymczasem walczył z sobą, bo obojętność Janiny rozpięła mu pierś bólem i z każdym dniem bardziej tracił nadzieję, czyli kiedykolwiek zdobędzie sobie to dziewczę uroczę.

I ona cierpiała. Nie mogła mu przeciw pierwsza powiedzieć, że kocha, że doświadczeniem zdobyte poglądy w innym świetle ukazują jej teraz wiele rzeczy.

— Wyjadę i skończy się wszystko—myślała.— Nowe moje stanowisko, zmiana otoczenia, praca umysłowa wpłynąć muszą na złagodzenie bólu i tęsknoty.

— Przykro mi będzie rozstawać się znowu z wami—odezwała się po chwili myślom swoim odpowiadając.— Jak miłutko Zarzecze teraz wygląda. Ślady pracowitych rąk waszych spotyka się na każdym kroku. Wiesz, Cesi, że cudów dokonałyście obie z Amelką.

Cecylia rozpromieniona rzuciła okiem do koła.

— Istotnie—mówi.—Bóg pracy naszej pobłogosławił. Ale przypomniałaś mi Janiu, że ja tu próżnuję a przed rozpoczęciem lekcji mam jeszcze z dziewczętami zajęcie. Ot i gromadka moja rozpierchnęła się po ogrodzie.

Poskoczyła ku ławce, lecz uprzedziła ją Janina.

Zręcznym ruchem postawiła sobie koszyk z jabłkami na głowie.

— Nie mogę próżnować, skoro tyle pracowitych pszczołek uwija się wokoło—mówi z uśmiechem.

Poszły ku domowi.

Ze stopni pałacowych zstępowała właśnie pani Helena, w towarzystwie wysokiego, elegancko chociaż po podróżnemu ubranego mężczyzny.

— P. Jerzy!—zawołała zdumiona Janina.

Darski stał już przed nią.

Wzrokiem zachwyty pełnym obejmował jej postać wzruszony, szczęśliwy.

— Czy ja śnię?—odzywa się wreszcie z żartobliwą ironią.—Przyszły bibliotekarz lorda Arnburnsham z koszem owoców na głowie? Ślicznie. Jestem pewny, że dostojny lord skamieniałby na ten widok.

Żartował, nie wypuszczając z dłoni ręki Janiny, zapominając obecności pani Heleny, nie widząc zdumionej zjawieniem się jego Cecylii. Janina śmiejąc się, koszyk z owocami oddała nadbiegającej dziewczynce.

— Czy lord Arnburnsham wysłał tu pana w roli mego anioła stróża?—pyta wesoło. Wycofuje przytem zręcznie rękę, którą Darski powtórnie ujął i do ust przyciskał.

— Jakim ja szczęśliwy, że zastaję panią zdrową i wesołą... — odpięra, sam nie wiedząc co mówi.

Janina nie wie, że scena ta, ma jeszcze jednego świadka.

Dembiński który przed chwilą przyplął łódką do Zarzecza, stoi opodal z brwią groźnie ściągniętą, z twarzą tak bladą jak gdyby cios jakiś gwałtowny sparaliżował mu ruchy, odebrał przytomność.

Do uszu jego dobiega wyraźnie każde słówko wyrzeczone przez Janinę i Darskiego, słyszy śmiech jej dźwięczny, wesoły, widzi serdeczną poufałość z jaką Darski ścisną i całuje jej ręce.

— Kto to jest?—szepce do siebie przez zaciśnięte zęby i wściekłość nim miota.

Ach, gdyby mógł oddalić się niepostrzeżenie uciec od niej, od Zarzecza, od Zambrówki nawet.

Głuchy, dojmujący ból szarpie mu piersi.

Gorące to zyczenie uniemożliwia atoli pani Helena.

Bystre jej oko dostrzegło stojącego.

— Nasz doktor kochany! — wyrzekła z miłym uśmiechem, przyzywając Dembińskiego.

Nie wypadło uciekać.

— Wyjeżdżam dziś wieczorem do Warszawy—rzekł Dembiński, witać się.—Może panie mają mi co do rozkazania?

Zapanował już nad wzruszeniem i ręka którą podawał Janinie, nie zdrząła nawet.

Chłód jednakże uścisku tego odczuła zaraz Janina.

Śliczne jej oczy zatrzymały się na jego twarzy dziwnie słodkie, pokorne.

— Spotykają nas dzisiaj niespodzianki — mówi z uśmiechem.—Rzadkim gościem jesteś teraz w Zarzeczu, doktorze.

Darski w serdeczny uścisk ujął dłoń Dembińskiego.

— Pozwól pan—rzecze.—Jestem Darski, duszą oddany przyjaciel panny Janiny a więc i pański. Ileż to razy rozmawialiśmy o panu. Wiem, że umiejętność twoja i niezmordowana troskliwość ocaliły życie pannie Janinie. Bóg zapłać, bo warte.

Potrząsał ręką Dembińskiego, nie przypuszczając nawet, że się zdradza co chwila i słowem i spojrzeniem, które goniło Janinę uparcie niekłamana radością błyszczące.

Dembiński był już panem siebie.

Z powściągliwością sztuczną nieco, bo Darski wstępny bojem umiał zdobywać sobie sympatyę, odpowiadał na pytania, uśmiechał się nawet, choć w mózgu wirowały szalone myśli.

— Zarzecze to raik prawdziwy—unosił się Darski, rozglądając się wokoło.—Wszystko świadczy o zabiegach i staranności. O! wielu pożytecznych rzeczy można się tu nauczyć, a zarazem przyznać trzeba, że ucezuwa się pewien rodzaj upokorzenia w obec niestrudzonej gorliwości i pracowitości kobiet, a naszego niedołęzstwa, abnegacyi, gdy idzie o pożytek i oświatę dla tych mass nierozwiniętych. Nieprawdaż doktorze? Pan, przynajmniej masz sposobność korzystania z przykładu... — dodał śmiejąc się — a ja postaram się o nią dopiero.

Ucałował gorąco rękę pani Heleny, jak gdyby znalazł oddawna, a ta szczerłość jego i swoboda ugruntowały bardziej jeszcze domysły Dembińskiego. Zgnębiony, zdruzgotany chciałby uciec w jednej chwili, bo czuje, że dla niego wszystko już stracone.

W altanie, którą bluszcz i powój wdzięcznie oplotły, zasiadło towarzystwo café do śniadania.

Rozpoczęte już południowe lekcye, odwołały Amelię i Cesię; Janina więc w różowym, ślicznie od ciemnych włosów odbijającym fartuszk, krząta się przy śniadaniu jak zręczna i staranna gosposia. Darski oka z niej nie spuszcza.

— Gdzie dyplom, panno Janino? — pyta żartobliwie, gdy zarumieniona dziewczyna niesie z lodowni złotki masło lub śmietanę. O! lordzie Arnburnsham, jakże cię żałuję!... dodaje z komiecznym politowaniem i odbierając z rąk Janiny masielniczkę lub dzbanek z mlekiem, patrzy na nią oczyma w których cały ogrom miłości snadno wyczytać można.

— Co za męki!—myśli w chwilach takich Dembiński, hamując wzruszenie.

Konwenanse jednak zmuszają go do wypicia tej czary goryczy do dna samego.

— Przywożę paniom ukłon y od panny Białeckiej—odezwał się Darski.—Choc aż nie rada przyznaje się do tego, ale tęskni bardzo po wyjeździe panny Janiny.

— Czy panna Białecka zamierza i nadal pozostać w Paryżu?—spytał Dembiński.—Wszak ukończyła już studia i przypuszczałem...

— Natałka stara się o miejsce asystentki w klinice — przerwała żywo Janina.—Po latach kilku dopiero, zamierza z owocami zdobytych doświadczeń przybyć do kraju.

— Czy Malska jest jeszcze w Paryżu?—pyta pani Helena.—Mąż jej dogorywa. Samotny jest i opuszczony.

Darski uśmiechnął się ironicznie.

— O! pani Malska upaja się teraz tryumfami — rzekł.—Wydała na świat dzieło, które nagrodzono. Oczywiście — jak zwykle bywa—sądem tym kierowało wiele pobocznych względów; fakt jednakże stał się głośnym i pewny jestem, że obecnie mniej niż kiedykolwiek myśl tej wiernej małżonki zwraca się ku mężowi.

— Odwiedzałyśmy tego nieszczęśliwego przed tygodniem—ozwała się pani Helena.—Przewieziono go do Krzemienia, majątności jego rodzinnej, gdzie chce umierać. Wspominał powielekroć, że radby zobaczyć żonę.

— Oburzając! — wykrzyknął Darski, szarpiąc wąża.—Pani Malska tak się wyemancypowała, że nie uznaje żadnych praw ni obowiązków, prócz za-dowolenia osobistych swoich pragnień i namiętnostek. Czy istotnie Malskiemu grozi niebezpieczeństwo, na które sztuka lekarska nie znajduje już ratunku?—zwrócił się z pytaniem do Dembińskiego.

— Tak, panie!—odparł krótko.—Organizm zbyt wyniszczony. Ale przypomina mi to cel dzisiejszej mej wizyty w Zarzeczu. Pani Orzelińska pisała do mnie.

— Orzelińska?—wypadło jednocześnie z ust pani Heleny i Janiny.

Nazwisko to było już prawie zapomniane w Zarzeczu.

Orzelińska od wielu lat nie odzywała się wcale i ukrywała starannie. Duma jej nie pozwała wta jemniczać obcych, w smutne dzieje sierocego jej życia, więc cierpiała i borykała się z losem sama,



póki teraz o to nie nadeszła chwila, że trwoga o przyszłość dzieci które pozostawiała bez opieki, kazała wszystkim innym uczuciom zamilknąć.

— „Zdaje mi się, że chwile moje policzone...“ pisała drżącą z osłabienia i gorączki ręką do Dembińskiego, ku któremu po tylu latach niewidzenia nawet czuła ufność bez granic.

On też bez wahania spieszył na jej wezwanie.

— Wyjeżdżam dziś wieczorem — mówił w dalszym ciągu do pani Heleny. — Może paniom przyda się ta wiadomość. Panna Amelia kłopotowała się o jakieś podręczniki... Mógłbym załatwić.

Ale pani Helena zdecydowała się szybko.

— Pojadę z panem, doktorze — odezwała się ze wzruszeniem, którego nie była w możności ukryć.

— Może się przydam na co tej nieszczęśliwej. Jakież to okropne, okropne uczucie odchodzić z tą myślą, że najdroższe nam istoty zostawiamy na pastwę nieubłaganego losu.

Oczy poczciwej kobiety zaszkliły się łzami, umysł zaniepokoiły poważne przypuszczenia, czy mąż jej nie przyczynił się czasem do okrutnego położenia wdowy.

— Pojadę, zobaczę... — powtarzała jak w gorączce i nie już od zamiaru tego odwieść jej nie mogło.

— Pan na długo wyjeżdża? — spytała Janina Dembińskiego, gdy na chwilę znaleźli się sami.

Stał właśnie na uboczu z pochylonym czołem, bardzo blady i przygnębiony.

Janina oczywiście smutek jego kładła na karb choroby Orzelińskiej.

— Jak on ją musiał kochać kiedy dziś jeszcze...

Ale wrodzona dobroć jej serca i uczucie jakie żywiła dla niego, o wszystkim zapomnieć kazały.

— Nie należy poddawać się zmartwieniu — mówiła dalej, patrząc mu w oczy serdecznie. — Wyobrażam sobie, że pan, panie Edwardzie, w każdym choćby najsmutniejszym zdarzeniu, spokój wyrobić w sobie potrafisz.

Dembiński podniósł na nią wzrok zamglony i dziwnie zmęczonym głosem rzekł:

— Gdybyś pani przez długi szereg lat zrosła się z jedną myślą, z jednym pragnieniem... gdybyś tęskniła gorąco do urzeczywistnienia najrozkoszniejszych marzeń i spostrzegła nagle, że cały gmach długo pieszczonej nadziei rozpada się w gruzy, czy... czy zdolną byłabyś zapanować nad rozpaczą i zniechęceniem?

Ból rozrywał serce Janiny.

— Panie Edwardzie! — zaczęła cichutko i patrzyła na niego tak pokornie i słodko, jak tylko kochająca prawdziwie kobieta patrzeć umie.

Lecz on wnet się otrząsnął. Ozwała się w nim dawna duma i hart niezłomny.

— Potrzeba jeszcze, abyś zebrał litości kochanej, a odpychającej cię kobiety — pomyślał z gorączką.

— Żegnaj pani! — rzekł prawie szorstko. — Czas mój policzony. Przed wyjazdem nie mało czeka mnie zajęcia. Życzę szczęścia! — dodał szeptem i dotknąwszy z lekka ręki Janiny, odszedł.

Błądą, smutną znalazł ją potem Darski, zapatrzoną na jezioro, kędy mknęła łódka niosąca Dembińskiego ku Zambrówce.

— Już teraz wiem, że szczęście moje odeszło odemnie... — szeptała zbielałymi ustami i Darski poznał od razu, że dzieje się z nią coś niezwykłego.

(Dokończenie nastąpi).

## BIAŁKA.

przez

Ernesta Świeżawskiego.

(Dokończenie).

Rys ten ciekawy, już nie postrzyżyny, ale ogolone głowy oczepianej panny młodej — zaznacza. I bodaj do niego odnosi się śpiewka nucona

w Galicyi, gdy panna młoda siedzi na dzieży, do oczepin, już po prześpiewaniu „chmielu“ (u Kopki).

Zaświecże miesięczku na tej łysej górze.

(Bo nas pan młody kocią nogą gryzie)

i wogóle częste wzmianki miesiąca przy oczepinach...

W każdym razie szczegółom tym nie zadaje kłamu zachowanie się Gryfyny, która „złożyła z siebie zasłonę publicznie,“ rozstawszy się z mężem 1271—1274, co Bielski wyraził: „i przetwórsa (t. j. z rozpuszczonemi włosami) chodziła.

Nakoniec, sięgając do początków chrześcijaństwa u nas, czytamy u Kosmara czeskiego wyrazy jego gorącego oburzenia, że Dubrawa żona Mieszka „niepoczeiwa nad miarę, już kobietą będąc podeszłego wieku, gdy poszła za polańskiego księcia, złożyła z głowy swej zasłonę i wdziała paniński wieniec.“ Widzimy w całym szeregu dziejów aż do X wieku, idąc wstecz, też samą cechę wdów i mężatek — zasłonę, na obstrzyżonej, a może i golonej głowie, oraz wieniec na rozpuszczonych włosach panien niezamężnych.

Z tych danych, świadczących, że tylko zamężne lub wdowy, do zawoju mogły pretendować, przechodzimy do ciekawego tytułu *Baldoma v. Baldama*, służącego 1393 Józkowej ze Skory inaczey Skorzyńce, r. 1383 wdowie Jaśka (\*).

Skąd on przyrósł do tej osoby? Niewiadać tego, z jej życiorysu, o ile go znamy

1388—1393 z córką miały proces o 40 grzywien, z Jarosławem, a 1399 stanęła w procesie wytoczonym sobie z urzędu, że z jej rozkazu jej syn zabił człowieka, i dał jego ciała psom pożreć.

W 1249 znaną jest wdowa po Januszu z Widzima, a matka Bozaty (Bodzanty?) i Mirona, z tymże tytułem *Bala—dama*, również niewiadomo z jakiej przyczyny.

Ale cofając się jeszcze w głębszą przeszłość znajdujemy, u Dytmara spółczesnika Chrobrego (1018) tłumaczenia Bele-gori pulcher mons, Bele anegini puehla domina, dowodzące chyba (że „biały“ był synonimem w owych czasach piękny, w stosunku do ciała, odnosił się do piękności, jak to dziś jedynie do barwy (u Gallusa alba civitas Białogród).

Nie należy wątpić, że i 1249, podobnie 1387—1399 odnosi się tylko do białości lica; gdyby kolor bowiem *peplum*, od początku mężatkę lub wdowę odznaczającego, był także biały, i jako taki, gdyby wywoływał przydomek kobiety, a raczej synonim płci żeńskiej, nie mógłby wyraz *biały* mieć dowiedzionego znaczenia: *pulcher* (piękny), ile że dopiero zasłonięcie twarzy „czepcem, zwojkiem, rąbkim“ mogło mieć za skutek nadanie jej delikatności, brak ogorzeliżny ze słońca i wiatrów, słowem tylko zasłona mogła wydobyc te różnice cery między mężatką a dziewczyną, w wiązku swym kwiecianym na zmiany temperatury (na równi z chłopcem) naturalną. Bładość taka lica mężatek, kojarząc się z bardzo wysoko posuniętą nietykalnością instytutu małżeństwa, doskonale wyjaśniałaby symboliczne znaczenie koloru białego, odznaczającego mężatki lica.

Mianowicie, przepisy etyki chrześcijańskiej, cały żywot kobiety ogarniające, skojarzyły się tak głęboko z naszymi pojęciami i uczuciami, że, pod ich wpływem, odpowiednio sobie wystawiliśmy przeszłość pogańską i jej etykę. Wskutek tej cywilizacyjnej sugestyi, przenosimy nasze pojęcie cnoty na okres życia słowianki, faktycznie temu pojęciu przeczący, owszem, wedle zasad etyki pogańskiej wyłączający najmniejsze nawet do niego podobieństwo. I co prawda, trudno cię nam oryjentować w tak dziwnych warunkach, jak owego świata dawnego.

Dopiero *ślub*, czy to w formie najpierwotniejszej, czy już cywilizowanej, jako kupno, rozpoczyna

dla słowianki pogańskiej sferę życia, przywiązanego do warunków, jakie chrystyanizm stale połączył z egzystencją kobiety, już od jej kołyski, wypowiedział w dogmacie Boga—Rodzicy Dziewicy. Niepokalaność ta, wracająca jako stały atrybut matek wielkich reformatorów religijnych, nawet budaizmu i islamu charakterystycznie wyraża ów stopień niezwykłości, jakim opinia ogółu odznaczała wszystkim szczegóły życia tych uwielbianych przez się ludzi, jakim odróżniała od swego poziomu. Zupełnie tak samo, Lach-poganin tą szczegółowością wyróżniał małżeństwo swoje, jakkolwiek, będąc mężczyzną, a więc samolubem, wyłączną wierność tylko żonie, a raczej żonom narzucił, nią je skrepował... nawet po swej śmierci, sam od obowiązku wzajemnej wierności, bez skrupułu się uwolnił.

Rzucamy te ogólniki, bez uwydatnienia ich zasadowości cytując źródła, ze względu na podział treści, sądzymy jednak, że na razie wzmianki powyższe, o wyłącznej enocie dopiero poślubionych w małżeństwo pogańskie, mogą nas objaśnić o drodze, jaką u słowian pogańskich, samodzielnie, z własnych danych, pojęcie cnoty niewieściej mogło się zlać z kolorem białym, właśnie na licu wykwitającym kobiety wtedy, kiedy już ubranie (*peplum*), tę białość lica powodujące zarazem, zewnętrznie obowiązek cnoty, ze zmianą stanu przybrany, uwydatniało i warunkowało.

Oczywiście w takich warunkach, przyczepianie srebrnych dzwonek do pasa 1437 r. (Nr. 2700) lub do płaszcza kmiecego (czerwonego 1447 r. Nr. 3319) może być atawistycznym, lub rudymenarnym dowodem, zupełnie innego zastosowania ozdoby, niż ten, który Kraszewski Litwinom pogańskim przypisuje, w użyciu tychże dzwonek. Co bowiem na Litwie mogło służyć do wykrywania miejsca pobytu i sposobu zachowania się osób niezamężnych, u Lachów było środkiem takiej samej kontroli, nie ze strony rodziców, lecz mężów, zgodnym najzupełniej z etyką owoczesną.

Taki wywód początku znaczenia koloru białego, zrazu, tylko jako symbolu małżeństwa pogańskiego, jego cech fizycznych (bładość zasłoniętego lica później piękna), a następnie moralnych (po dzisiejszemu) godzi się z wnioskami, jakie nam wolno wyciągnąć z materyałów strojowych.

Ten zwyczaj futer posytych trwa jeszcze w XV w. choć 1335 r. w nowo założonym kleparzu wolno było sprzedawać „szaty wełniane albo lniane,“ i zdaje się dostatecznie małą wartość lnianych rzeczy t. j. płótna charakteryzować.

Gallus, z pierwszej połowy XII w. pochodzący, daje miarę bogactwa doby Chrobrego, opisując, że „damy dworskie nie używały szat lnianych (*lneis*) ani wełnianych (*laneis*)“ posługując się natomiast płaszczami (*palus*), które poszywano futra, bez względu na ich wartość, był by były nowe, i obejmowano złotym szlakiem (*aurifrisio*) u dołu (jak skąd inąd wiemy) purpurowym, nakształt rzymskiej togi preteksty, w złote gwiazdki (\*).

1243 roku, w traktacie zawartym z krzyżakami, co do warunków handlu i cła na drodze z Włocławka na Gniezno, Poznań, Zbączyń i Gubin prowadzącej—mowa jest o suknie lnianem (*de panno lino*), obok sukna z wełny (*de panno laneo*) i pierwsze niżej od drugiego, co do cła, jest postawione.

Z użycia jednego i tego samego wyrazu sukno (*pannum*) na wyroby tak różne jak płótno, ze lnu, i sukno prawdziwe, godziłoby się może wnosić, że wełna była pierwotnie używaną powszechniej, na równi z kożuchami futranemi. Potwierdzać to się zdaje fakt pokrewny, znany z t. z. prawa książęcego, obejmującego wszystkie posługi i robocizny, oraz daniny państwowe, w użyciu będące przed zaprowadzeniem prawa niemieckiego, że po opolach (okręgach) odbywali peryodyczne objazdy książęcy sukniennicy (*pannicies*), wyrabiający swój towar z materyału dostarczanego na miejscu, pod nazwą „owca, baran podworowy.“ Przy wyjątkowej niemal uprawie roli (wsie „rataje“ specjalne), i fackie poboru najdawniejszych dziesięcin kościelnych (znanych 1136) w futrach (kun i lisów), oraz kar sądowych, i w ogóle oznaczaniu monety (wartości umówionej, z pomocą futer — małe jest prawdopodobieństwo

\*) Lesicki *Die ältesten grosspolnischen Grodbücher* 1837 r. T. I. Kodeks Wielkopolski.

\*) Kadłubek.



uprawy lnu w ilościach dostatecznych na wyrób płótna, (\*\*\*) na codzienny i powszechny użytek.

Zresztą, jak wskazuje opis Galla, lniane wyroby małej ceny.

Jest tedy prawdopodobieństwo, że i na zasłony (*pepla*) niepłótno, nie sukno lniane, ale wełniane było używane.

Przeciw kolorowi białemu, nawet sukna może świadczyć akcentowanie sukna „angielskiego,” *białego* w XIV w., a z pozwolenia 1354 r. wydanego w kwestyi handlu przez Kazimierza W. dowiadujemy się, że „płótna białe (*tela alba*)” uważano za produkt zagraniczny (*ab extra*), płótna zaś krajowe są zwane czerwonymi (*tela vero nigra terrestria*) w przeciwieństwie do tamtych. O bieleniu płócien, barchanu i sukna w młynach krakowskich (*dealbatio*) słychać 1458 r. (\*).

Przypuszczając zresztą chętnie, że te wszystkie szczegóły nie obalają białego koloru nakryć głowy, nadmieniamy, że jeszcze w XVI w. w Wawelu istniejąca *czarna izba* (*stuba nigra*), jakby starożymskie *atrium*, tak zwane od kopcia, z ogniska na ścianach osiadającego, (\*\*\*) i główną część mieszkania stanowiąca—wyklucza dbałość o kolor biały i możność utrzymania go, gdyby nawet go używano.

Pojęcie *izby białej*, (*stuba alba*) bardzo względne, tak jak płótna bielonego w słońcu, a mimo to czarnem zwanego.

Użycie jakiegoś ubrania wstydlwego (1279) na zasłony, i ich „zzielenienie” od łez bujnych, także przeczy białemu ich kolorowi.

Tym sposobem, na żadnej drodze nie możemy się przekonać o genezie białogłów v. białek z koloru zasłon, okrywających ich głowy w epoce najdawniejszej.

Jeszcze się uciekamy, do wysnucia ogólnej białości laszek pogańskich z ich białości duchowej, i ich łagodności i t. d., ale tutaj mimo szczupłego materiału, nie mamy odwagi postawić, na jego zasadzie, twierdzenia odpowiedniego, dodatniego.

Ogólny poziom całego społeczeństwa, jeszcze długo później, bardzo surowy, dziko okrutny, jak choćby tu jeden przykład z r. 1399, poparty drugim z 1450 roku, spasiona ciałą, zabitego, psami charakteryzuje, a który w swoim czasie, może będziemy mieli sposobność przedstawić — nastęrcza nam owszem uwagę, że i na obszarze Wisły i Warty obyczaje, z biegiem czasu, pod wpływem chrześcijaństwa łagodniały. Obrazy sielankowości, fałszywie wynioskowane z pojedynczych zdań greckich (*bizantyńskich*) lub nawet niemieckich pisarzy, mają wartość względną, porównawczą niejako. Same jednak posiadają właściwy wygląd moralny cywilizacji pierwotnych, nieodróżniających państwa od surowości, nieceniających życia, wogóle, a litość poznających, jako uczucie dodatnie i obowiązkowe, nieubliżające jej przedmiotowi, dopiero od przyjęcia nauki Chrystusa.

Przebiegłość, dająca zaszczytne nazwy bohaterom legendowym (*Lestek, lest*), utrwala jeszcze w pamięci Niemców XI wieku sylwetki towarzyszy Chrobrego i jego samego.

Styl księdza Gallusa, pierwszego kronikarza, tak żywo w swych przenośniach maluje naturę zwierzęcą, na której tle kreśli sceny z życia swych bohaterów, że trudno odjąć się przekonaniu, by w tych przenośniach, brzmiających często jak „panegiryk na wspak” Dytmara saskiego, niebyło odbicia się rzetelnego podobieństwa psychicznego między ludźmi, a fauną. Są to smoki ogniem ziejące, dziki, lisy istotne.

Nie znaczy się to, by ludzie owocześni byli potworami *fin-de-sièclowymi*, by braki im uczuć dodatnich. Ale są to postacie z powieści Homera i Coopera, domagające się otoczenia jeszcze niepokonanej natury, o formie uczuć szybkiej, doraźnej, gwałtownej, jeszcze rychlej, jak w czasach historycznych, sięgającej po rozum, to jest zimną rozważę, do głowy, aniżeli po szablę do boku.

Policzki, za Kazimierza W. karcone w artykułach prawa spiją się i na lica kobiet szlacheckich (jeszcze w XV w.).

Wyrazy obelżywe dla czci kobiecej latają, jak—kwiatki wymowy potocznej, a są tylko jednoznaczne z zarzutami braku szlachectwa jeszcze w XIV, XV w., i wywołują jedynie jego zaprzysiężenie sądowe.

Samo małżeństwo posilkuje się tak gwałtownymi formami, że „przed drzwiami kościoła,” lub w „karczmie” zaledwo, dla uniknięcia scen gwałtownych i krwawych, jakie obrzędowo do aktu ślubnego należa, mogą się odbywać. Aluzyje odmów w bardzo poważnych skutkach finansowych (posagowych), brzmią ciągle w w. XII jeszcze, po księgach sądowych.

Rzeczy można, że krwawa łna i posoka codziennego pożycia, odbijając się na terminologii językowej, raczej krasawicami, kraśnami (czerwonymi), niż białkami, lacką pogankę powinnaby charakteryzować. Gdy jednak tak nie jest, o ich silnym związku przyczynowym z okupieniem mężatek; sądzimy, że dalsze szczegóły źródłowe z późniejszych nawet czasów przyczynią się jednak do uprawdopodobnienia ogólnej naszej tezy, że w biegu dziejów dosko naliliśmy się po zamierzłej chwili meteorycznego, a rajskiego blasku, nie zaś od początku staczali co raz niżej.

Nie przesadzając jednakże wartości podanych w niniejszem dowodów na poparcie naszej hipotezy o początku nazwy „białka,” i jego jednoznaczności „piękna,” a zarazem i enotliwa, o ich silnym związku przyczynowym z okupieniem mężatek; sądzimy, że dalsze szczegóły źródłowe z późniejszych nawet czasów przyczynią się jednak do uprawdopodobnienia ogólnej naszej tezy, że w biegu dziejów dosko naliliśmy się po zamierzłej chwili meteorycznego, a rajskiego blasku, nie zaś od początku staczali co raz niżej.

## SIOSTRY NAPOLEONA.

Eliza Baciocchi.

Księżna Giombino i Lukki; Wielka Księżna Toskańska.

(1777—1820).

(Dalszy ciąg).

Wobec zaznaczanych silnie upodobań literackich, Eliza Baciocchi nie mogła znieść, aby ktokolwiek z wybitniejszych sław Francji trzymał się zdala od jej salonu. Wskutek tego, pragnąc poznać i pociągnąć ku sobie głośnego krytyka Laharpe'a, zażądała od pani Récamier, by zaprosiła ich do siebie współcześnie na obiad. Kaprys taki równał się rozkazowi: „Osoby bowiem, należące do rodziny pierwszego konsula—pisze pani Récamier,—zaczęły już wtedy przybierać ton książęcy, dający do zrozumienia, iż wyświadczać mają łaskę tym, których dom raczą nawiedzić” \*).

W dniu więc oznaczonym obiad przyszedł do skutku. Do stołu zasiadło tylko ośm osób: pani Récamier, matka jej pani Bernard, pani de Staël, Eliza Baciocchi, Laharpe, hr. Ludwik de Narbonne i Mateusz de Montmorency. Że w takim kółku, pod czarownem przewodnictwem pani Récamier, rozmowa musiała być ożywioną, że posiadała urok niezwykły, o tem niepodobna wątpić nawet. Tem silniejszym też było wrażenie, gdy pod koniec uczty, rzuciwszy okiem na bilecik, podany jej przez służącego, pani Bernard wydała wstrząsający okrzyk rozpacz i runęła bez zmysłów na ziemię.

Rzucono się do ratowania nieszczęsnej, do niesienia jej pomocy; równocześnie zaś pani Récamier wydosłała z zaciśniętych rąk matki ów złowieszczy bilecik, który ją o utratę przytomności przyprowadził. Było to zawiadomienie, iż mąż jej, p. Bernard, został nagle uwięziony i odprowadzony do Temple.

Wśród ogólnego żalu i współczucia, jedna Eliza Baciocchi miała taką minę, jak gdyby ją cały

ten wypadek, przerywający zabawę, niecierpliw i gniewał tylko. Sympatya, okazwana żonie i córce uwięzionego, była, według jej mniemania, rodzajem wyrzutu, który dotykał nie tylko rządu pierwszego konsula, lecz i ją samą, jako jego siostrę.

— Pani,— błagała tymczasem ze łzami pani Julia Récamier,—Opatrzność, zsyłając cios ten w twojej obecności, chciała mi wskazać widocznie, gdzie mam szukać ocalenia. Pani, muszę dziś jeszcze zobaczyć się z bratem twym, pierwszym konsulem, liczę, że raczysz wyjednać mi posłuchanie, od którego zawisło życie mego ojca.

To odwołanie się do jej dobroci, do serca kobiety, było tak naturalnem, iż odpowiedź Elizy zdumiała wszystkich.

Pani Baciocchi przybrała minę zakłopotaną i odparła niechętnie:

— Doprawdy, sądzę, iż lepiej państwo zrobicie, zwracając się wprost do Fouché'go. On wie najpewniej, jak rzeczy stoją. Jeżeli zaś okaże się później potrzeba wyjednania audyencyi u mego brata, nie odmawiam, i owszem, spróbuję co będzie można zrobić w tej sprawie.

Nie pojmowała widocznie — dodaje Turquan ze słusznym oburzeniem, — że gdy nieszczęście podobne dotykało dom, któremu sama się narzuciła jako gość nieproszony, gdy uderzało w kobietę, którą pragnęła zaliczyć koniecznie do swych przyjaciółek, przywoitość nakazywała jej udać się natychmiast do brata i przywieźć pani Récamier rozkaz, uwalniający ojca jej z więzienia. Zamiast tego, Eliza oświadczyła zimno, że idzie do teatru.

— Róbcie panie tymczasem starania u Fouché'go—zakończyła—i dajcie mi znać o ich wyniku podczas przedstawienia.

Ta zimna obojętność była wstrętną prostopu.

Pani Récamier pojechała natychmiast do ministra policji:

— Rzec to nader poważna—objaśnił Fouché.—Staraj się pani zobaczyć bezzwłocznie z pierwszym konsulem i uzyskaj wstrzymanie śledztwa. Inaczej ojciec twój jest zgubionym.

Szarpana niepokojem, pani Récamier biegnie do *Théâtre-Français*. Wystawiać w chwili podobnej boleść swą na pokaz, próba to straszna, lecz—taką była wola pani Baciocchi. Gdy córka uwięzionego dostała się wreszcie do łóży, zajętej przez Paulinę i Elizę, ta ostatnia nie mogła się powstrzymać od oznak złego humoru.

— Pani — mówiła Julia Récamier, — przychodzę prosić cię o spełnienie obietnicy. Jeżeli nie zobaczę się dziś jeszcze z pierwszym konsulem, ojciec mój będzie zgubiony.

— Zajmę się tem po skończonem przedstawieniu — brzmiała niechętna odpowiedź.

Równocześnie zaś, Paulina, której cała uwaga pochłonięta była przez aktora Lafon'a, cieszącego się jej względami, zaczęła wołać:

— Patrz pani, patrz pani, jak mu się przechylił kask! Nie, doprawdy, to zbyt śmieszne!

„Zbyt śmieszne” było tu jedynie zachowanie sióstr obu, które nie miały ani doś ludzkiego serca, aby odczuć ból córki tracącej ojca, ani doś delikatności, by pustkę własnego ducha i umysłu oskonić pozorami dobrego wychowania.

Na szczęście, w loży znajdował się jeszcze generał Bernadotte. Wzruszywszy ramionami na trywialne uwagi Pauliny, dotyczące aktora, podniósł on się i zwrócił do starszej siostry.

— Pani Récamier—mówił,—zdaje się być chorą i znużoną. Proszę więc, niech mi pozwoli odprowadzić się do domu, a pójdę sam porozumieć się w sprawie jej ojca z pierwszym konsulem.

Pani Baciocchi, uszcześliwiona, iż szwagier Józefa Bonaparte bierze cały trud na siebie, zwróciła się szybko do pani Récamier.

— Generał Bernadotte podejmuje się przedstawić sprawę memu bratu. Traf to bardzo pomyslny; niech więc pani korzysta z niego skwapliwie. Nikt bowiem nie potrafiłby skuteczniej rzeczy poprzeć—zapewniła.

Gdy jednak Bernadotte uzyskał od Napoleona rozkaz natychmiastowego wypuszczenia na wolność pana Bernard'a, Eliza Baciocchi zrozumiała, że odrzuciła dobrowolnie atut, w ręku trzymany. Wszak uwalniając starca tego, a ojca sławnej i ogólnie znanej kobiety, mogła zamienić ją w głęboko

\*\*) Akt z 1145, mówiący o daninie klasztorowi w Łądzie 3 kit (peków lnu), jako łądzki jest podejrzany.

\*) Kodeks miasta Krakowa I.

\*\*) *Przegląd katolicki* 1894 r. Nr. 32, 33 recenzja Encykł. Illustr. i *Przyczynki do dziejów medycyny* (odbitek ze *Zdrowia i Pamiętnika lekarskiego*).

\*) *Souvenirs et correspondance de M-me Récamier*.



wdzięczną i oddaną sobie przyjaciółkę, mogła zyskać uznanie dla szlachetności uczuć własnych i przekonać świat o wpływie swym na pierwszego konsula.

Odtąd więc postanowiła zmienić taktykę.

Gdy ukazała się *Atala Chateaubriand'a*, pani Baciocchi zaniósła ją natychmiast wielkiemu swemu bratu, prosząc z własnego już popędu, o wykreślenie autora z listy emigrantów, co też Napoleon najchętniej uczynił. Był to pierwszy krok tylko. Eliza, kierowana ówczesnie najzupełniej przez Fontanes'a, poszła dalej w zapale jednania sobie sław literackich. Gdy bowiem Chateaubriand przybył do Paryża z nieporównanym swym dziełem *Génie du Christianisme*, i gdy w przedmowie do książki tej porównał generała Bonaparte'go z Cyrusem, pani Baciocchi, zbrojna w ów dowód prawomyślności, wyrobiła mu nominację na sekretarza ambasady francuskiej, przy stolicy apostolskiej w Rzymie.

Zakosztowawszy raz słodyczy dobrego uczynku, a widząc jaką popularność zjednywa sobie Józefina wstawianiem za oskarżonymi rojalistami, oraz ratowaniem ich życia, siostry Napoleona postanowiły nie dać jej się wyprzedzić w szlachetnej tej misji. Odtąd, kazały one uprzedzić żony skazanych, że mogą uciekać się do nich o łaskę. Rzecz prosta, iż działo się to za zgodą cesarza. Wozowały bowiem petentki z wielką pompą w książęcych powozach do St. Cloud, gdzie Napoleon udzielał amnestyi, poczem, z równą paradą, w oczach całego narodu a raczej całego miasta, panie te wracały z ułaskawieniem do Paryża.

Czy czyn ów był obliczony na popularność, lub nie, to wszystko jedno — dodaje najszlachetniej Turquan. — W każdym bowiem razie uratował on garść niewinnych od śmierci pewnej; a to rzecz główna.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

— Jezus Marya! a kto tam tak dzwoni?! — wołała niemłoda już kobieta, biegnąc ciężko aż z trzeciego pokoju. Czegóż dzwoni, kiedy masz klucz?!

W tej chwili drzwi, pchnięte jakąś potężną dłońią, uderzyły z łaskotem o ścianę. Do pokoju wpadł jak burza młodzieniec w przekreślonym kapeluszu.

— Wiwat! — Wiwat! — wołał zdyszany. — Wiwat! — Flota! Oo! — Oo! — jedna setka! — druga! — trzecia! — dziesiąta (sturubłówki rozsypywały się po stole) cały tyśiąc! — A co! — widziała mama kiedy tyle floty naraz?! — Niech mama uściska przy tej okazji jedynaka!

I porwał ją w ramiona, ścisnął, całował — wreszcie puścił się z oszołomioną kobietą w jakiś szalony taniec wokoło stołu, ciągnąc ją za sobą i przewracając krzesła.

— Zygmun! — Waryacie! — co robisz! — Zygmun! — do czego to podobne! — Zygmun! — puszczać zaraz! — pieniądze porozrzucasz!

— A niech tam! — wszystkie nie zgina! — a kiedy jestem kontent...

— Aaa! — jak mi Bóg miły! — Wiatr porwał sturubłówek! — poleciała na schody! — Leć żeż...

Wyrwała mu się z rąk i wybiegła na schody, a on siadł na przewróconym krześle i śmiał się jak szalony, bijąc rękami o kolana.

— Ach! to wy! — rozległo się na schodach — bójcie się Boga, nie widzieliście?...

— Pewno tej sturubłówek!...

— Jesteście nareszcie niedołągi! — zawołał Zygmunt, podbiegając ku drzwiom. Jadę już dziś na pol!

Odpowiedział mu wrzask kilku młodych ludzi, od którego się schody zatrząsnęły.

— Witaj o siejący sturubłówek! — Witaj materyale na Van — Dycka! — Czyścicieli kieszeni bogatych idiotów! — Witaj nasza chwało! — krzyczeli jeden przez drugiego i ściskali mu ręce z zapałem.

— Patrzenie na ten stos tęczowy!

— W górę go! — krzyknął jeden, w górę go! — powtórzono. — Wiwat! — niech żyje Mazanini! — porwali go na ręce i zaczęli obnosić po pokoju wśród piekielnego hałasu.

Matka z niepokojem patrzyła na stół, który się chwiał pod ich naciskiem, porwała banknoty i uciekła na bok przezornie.

— Jezus Marya! — zleci jeszcze i rozbije się! — krzyknęła nagle przestraszona. bo oni krzyżąc ciągle zaczęli podrzucać Zygmunta, co narażało nie tylko jego ubranie, ale i kości.

— Nic mu nie będzie. — Niech popamięta pierwszy tyśiąc! — to zdrowo! — dalej go! jeszcze raz!

— Moje uszanowanie państwu! — ładnie się bawicie! — zadzwieczał nagle wesoły głosik. Młodzi przestali podrzucać Zygmunta, który wskoczył na stół i sygnęli się do jasnej blondyneczki co stała przy wejściu.

— Ba! tylko nie wszyscy razem! — śmiała się widząc, jak wszyscy chcieli jej pomagać zdjąć palto — pan Jan niech weźmie tę parasolkę i postawi tam w kącie, pan Bronisław niech powiesi palto — o tutaj — nie tam — tu! — a! ten pan Bronisław!...

— Bronek, Bronek!

— A ty Mazanini, mógłbyś też zejść z tego stołu i przywitać się z siostrą.

— Mazanini! — dalej — hajda!

Ale Zygmunt się nie ruszał.

— Jeżeli ja Mazanini, to powinnaś zamiast panie Bronisławie mówić panie Klocu, zamiast...

— Dosyć, dosyć, ładnie się panowie przezywacie!

— Ale co to manusia tak stoi z załamanymi rękami? — Nie temu stołowi nie będzie. — No już — widzi mama — schodzę — niechże mama się nie gniewa za te hałasy — ale trzeba było uciec pierwsze walne zwycięstwo...

I zaczął się przymilać i całować jej ręce.

— No cóż? nie gniewa się mama?

— Tak, tak, teraz to przepraszasz, a... aa...

— A zarobić tyśiączek umiałeś...

— Ee, ty się zawsze wykręcisz...

— Właściwie to my panią powinniśmy najmocniej przeprosić — odezwał się jeden z młodych ludzi i wnet wszyscy przyskoczyli i zaczęli się tłoczyć do jej rąk.

— No i co tu z niemi robić! — Nastraszą mnie, a potem przepraszają...

— Widzi pani, chcieliśmy go przyzwycząić do jazdy w wagonie... — żeby się potem nie strząśł z nadto — żeby pamiętał o nas zagranicą.

— I zresztą to wszystko z miłości dla niego — więc nam to pani chyba przebaczy...

— No i dla sztuki trochę — dodał Bronek, przewzany Klocem — bo inaczej nie opłaciłoby się chyba dzwigać takiego...

— Klocu! — dokończył Zygmunt. — Brawo! — Bronek zawsze ma racyę!

— Wiwat Bronek! — Wiwat! — podchwycili koledzy. — Możeby go też obnieść?

— Jezus Marya! — Dajcież pokój! — a któż by go udźwignął?! — ale, ale, moja mamu — chciałem z mamą pomówić o...

I Zygmunt wziął matkę na stronę i zaczął ją prosić, by przyjęła połowę tego tyśiąca dla siebie i Zosi, bo trzeba, żeby dziewczyna wypoczęła po trudach jakie sprowadza dawanie lekyi, żeby mogła częściej pobawić się i porozmawiać z chłopcami, jak teraz naprzykład, kiedy im tak wesoło razem — a mnie, mówił — słowo mamie daję że 500 rubli zupełnie na teraz wystarczy, a potem! — napewno mi nie zbraknie! — Jak wrócę z Rzymu...

— A kiedyż ty chcesz jechać?

— O piątę czy coś podobnego; nie pamiętam.

— Jaktóż — dziś?

— Rozumie się! — przecież już tydzień cię wybieram — czekałem tylko, aż mi zapłacą za ten obraz nareszcie.

— Jaktóż? To przecież już niedługo! — Jaktóż? Tak nagle?

— To trudno moja mamu.

— Ależ mój drogi, zastanów się! Jakżeż możesz zostawiać nas tak same... I tam gdzieś na końcu świata siedzieć samemu — zdaleka od...

— Moja najdroższa mamu! — moja mamu kochana! moja — zawołał nagle Zygmunt całując gwałtownie jej ręce — niechże mi mama odwagi nie odbiera! — Mama nie ma pojęcia, ile mnie kosztuje... ile mnie będzie kosztować ta samotność! — i to wśród obcych! Ale ja nie mogę dłużej zwlekać — tak mnie pecha coś w tę drogę! Mama nie wie, jak ja chcę gwałtownie skończyć raz te przekłete studia, by zacząć malować coś, co naprawdę będzie wielkie! — Ah, bo mama nie wie... mówił zapalając się coraz bardziej — mama myśli, że ten fragment, to już jest całe dzieło — wielkie — z którego można być sławnym! — tam przecież dopiero cząstka — atom myśli! — ten chłop przecież naprzykład...

Tu urwał nagle, bo matka patrzyła na niego z jakimś pobożnym namaszczeniem i najwidoczniej nie wiele rozumiała o co mu chodzi.

Na jego twarzy odbiło się ogromne zniechęcenie.

— Moja mamu — niech mama już nie odwoździ mnie od tego wyjazdu.

— Ależ ja ciebie wcale nie odwożę, tylko dla czegóż koniecznie dziś? — Poczekaj jeszcze do jutra...

— Dziś, czy jutro — wszystko jedno! — A jak się mamy rozstawać, to lepiej już prędzej — te dni przed odjazdem są najokropniejsze. Przecież nie pierwszy raz jadę.

— Tak, ale nie tak daleko... I tam w Rzymie rozbijają podobno...

Zygmunt roześmiał się wesoło i pocałował matkę w rękę.

— Ee! przecież się nie dam! — zawołał rozweselony.

— A... słuchaj no... — jeszcze jedna rzecz... Wiedzisz... może Józia przyjedzie niedługo...

— Ha ha ha!... — roześmiał się Zygmunt zupełnie już rozbawiony, — Józia! — Józia!... słuchaj Bronek! — Bronek! — pamiętasz Józię?!

— Al Józia! — zawołał zapytany, — czy to ta, co obraży nosem oglądała?

— Właśnie! — i powołała go sobie żółtą farbą! — Ha ha ha ha!... — Otóż uważajcie! — zwiastuję wam tę radosną nowinę, że ta mecenaska sztuki raczy zaszczycić niedługo swoimi łaskawymi odwiedzinami ten mizerny padół warszawski i może który z naszych obrazów będzie miał szczęście...

— Dostać się pod uderzenia jej przydługiego nosa! — podchwycił któryś, a zawtórował mu ogólny śmiech.

— Czegóż się śmiejecie? bardzo rozsądna panienka...

— Oo! — ogromnie! — kiedyś mi powiedziała, że impresjonizm musi pochodzić od *se presser*, bo malarze impresjonistyczni robią swoje dzieła bardzo prędko.

— To mógł być żart — zauważył Bronek.

— Żart? W takim razie nie była by znów tak głupia...

— Bardzo wyładniała. Jedzie teraz na jakiś uniwersytet.

— Na uniwersytet? — spytał Zygmunt zaciekawiony, ale wnet machnął ręką. — Wszystkie one takie same!

— Proszę, proszę, — a ja? — spytała Zosia.

— Aa, aa... — pani to co innego — gdzież tam! zupełnie co innego, — zahaczało wokoło, a Bronek zaczął ją przekonywać, jakim ona jest wyjątkiem.

Zygmunt się zamyślił... Wtem rozległo się gwałtowne dzwonięcie. Do pokoju wpadł jakiś młody człowiek, bardzo zdyszany.

— Zygmunt! czy ty koniecznie chcesz dzisiaj jechać? — A — przepraszam — moje uszanowanie.

— Dziś! — rozumie się! — A ty skąd wiesz?

— Bronek mi mówił. Mówił także, że ci ogromnie zależy na pośpiechu — otóż uważasz — pociągi od kilku dni zmienione — ten którym jedziesz odchodzi o godzinę wcześniej.

— Masz tobie!

— No to już nie pojedziesz! — zawołała matka z radością.

— Przeciwnie. Tyle tylko, że o godzinę wcześniej.

— Ależ spóźnisz się! to już za 3 kwadrans!



— Jak się spóźnię, to wrócę i pojedę nocnym pociągiem.

— A rzeczy?

— Spakowane już od tygodnia prawie wszystkie.

— I pocóż pan przychodził z takimi wiadomościami!—mówiła zaspiona Zosia.

— Nie byłbym przyszedł, bo mam teraz zajęcia w biurze, ale tak się szczęśliwie złożyło, że interes wypadł mi tuż obok...

— To pan powiada, że się szczęśliwie złożyło?

— No!—ja zrobiłem tak, aby dogodzić Zygmun-  
towi—no, dowidzenia, mój drogi—kiedy wrócisz?

— Za jakie 2—3 miesiące—Dowidzenia.

Uściskali się i zwiastun nieprzyjemnej wieści wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. W milczeniu, jakie nagle zapanowało, słychać było, jak pośpieszne zbiegał ze schodów.

Wesołość znikła. Wszyscy mieli powarzone mi-  
ny, tylko przez piękną twarz Zygmunta ciągle prze-  
latywały płomienie i rozdymały mu się nozdrza.

Pobiegł do drugiego pokoju i począł się pakowa-  
ć. Nagle przerwał swoją pracę—wrócił—wziął  
Bronka pośpiesznie na stronę i mówił wzruszony:

— Bronek—ty się nie gniewasz na mnie, że cię  
tak Klocem wobec Zosi nazwałem?—ja—wiem prze-  
cie, że ty i Zosia... — nie róbżeż takiej zdziwionej  
miny, ja wiem że... Nie dziw się także, że cię za to  
przepraszam, — ale ja widzisz jadę w taką drogę,  
z której się albo wraca wielkim, albo... — słuchaj  
Bronek!—widzisz, ja teraz jestem ogromnie zdener-  
wowany — wszystko wydaje mi się przesadzonym—  
daj pyska jak Boga kocham, bo ty jeden...

I uściskawszy zdumionego chłopca, zawrócił się,  
chcąc się dalej pakować, lecz nagle znowu się za-  
trzymał i zaczął szukać w boecznej kieszeni.

— Słuchaj Bronek, mówią obejmując go znowu—  
Bronek — jak Boga kocham—nie dlatego że teraz  
jestem wzruszony—pamiętasz, że przecież zawsze  
ile razy chciałeś, albo ja chciałem — widzisz — ja  
mam teraz tyle tych sturubłówek—widzisz—ja wiem  
że nie opływasz—oddasz kiedy zechcesz — a mnie  
jak Boga kocham—no—Bronek!

— Ale widzisz...

— Żadnego widzisz!—no daj pyska!

Uściskali się znowu. W rękę Bronka znalazła  
się sturubłówka, z którą nie wiedział co robić, a Zy-  
gmunt miał żyć w oczach.

Wkrótce załatwił się z pakowaniem i zaczął się  
żegnać. Matka się rozplakała, Zosia powstrzyma-  
wała się ze względu na młodzień, ale kąci jej róż-  
żowych usteczki krzywiły się ustawicznie.

Zygmunt patrzył na to z rosnącym rozdrażnie-  
niem i złościł się na tkliwość, która go coraz bardziej  
ogarniała. Wziął matkę w ramiona, zaklinał ją by  
się uspokoiła i czuł, że musi stąd wyjść jaknajprę-  
dziej, bo inaczej sam się rozplacze albo wybuchnie  
jakimś nieposkromionym gniewem, uściskał jeszcze  
Zosię, która nie wytrzymała i rozplakała się na do-  
bre i wyszedł doznawszy jakiejś mieszczaniny uczuć:  
ulgi żalu i nadziei.

Koledzy wynieśli za nim kapelusze i kuferek, bo  
on wogóle rzadko kiedy o takich drobnostkach pa-  
miętał, poczem siedli w najbliższą dorożkę i po-  
jechali.

Zygmunt był nachmurzony, więc i innym nie  
chciało się bardzo rozmawiać. Palili tylko w mil-  
czeniu papierosy.

Zdawało się, że tak przejdzie cała droga aż do  
kolei. Nagle przez chmurną twarz Zygmunta prze-  
szedł uśmiech ironiczny.

— Bronek, pamiętasz ty naszą dysputę? wiesz—  
wtedy u Staśka? — Jeżeli sobie przypominasz, to  
spójrz teraz na tego biednego psiaka ze złamaną  
nogą, którego bije ten ulicznik. i powiedz mi, poco  
on żyje?

Bronek spojrzął na niego zdziwiony. Skąd mu  
się teraz przysniło?

— To nie zresztą, poco on żyje, ale poco on  
cierpi?—zaco?!—dlaczego?!—dodał Zygmunt zapa-  
lając się odrazu.

— Et, mój kochany, także miałbym nad czem  
głowę sobie łamać, nad cierpieniem psa!

— Więc pies według ciebie nie potrafi cier-  
pieć?—Więc dlaczegoż wyje!

— To cóż, że wyje odparł Bronek, bądź co bądź  
pozostanie tylko psem. I nie można go używać  
jako przykładu nieludzkości miłosierdzia Stwór-  
cy. Pies nie ma duszy.

I Bronek puścił silny kłęb dymu. Inni koledzy  
poczęli się trącać łokciami—pokazywać sobie zape-  
rzone fizjonomije zapaśników, więc twarz Zygmun-  
ta stała się jeszcze bardziej nachmurzoną i posępną.  
Nie śmiał już wypowiedzieć wielu argumentów,  
które mu leżały na dnie duszy, bo były one tej na-  
tury, że nie zrozumiano by ich tutaj. Nie śmiał  
wyjawić swojej filozofii cierpienia—ogarniającego  
cały świat—i zniechęcenie odbiło się znowu na je-  
go twarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Wycieczka na Islandyę.

(SZKIC Z PODRÓŻY).

Pewnego pięknego poranku czerwcowego puści-  
łem się w drogę w towarzystwie mego przewodnika  
Izaaka Thingvalle. Słońce spozierało jakby zasp-  
ane z poza cienkiej zasłony chmur; w powietrzu było  
ciecho i spokojnie. Najłżejszy wietrzyk nie poru-  
szał gałęzi karłowatych drzew, porastających lawą  
pokryte pola, rozciągające się między dwoma ol-  
brzymiami otchłaniami Almannagjan i Ravnegjan  
i spinających się tu i owdzie po okolicznych ska-  
łach. Wrzaskliwe ptactwo przelatywało z kamie-  
nia na kamień, napełniając powietrze radosnymi  
pieniami porannymi. Po godzinnej wędrowce do-  
tarliśmy do uroczego Ravnegjan, rozciągającego się  
od jeziora Thingvalle do gór Raben na prze-  
strzeni przeszło milowej. Droga prowadzi prosto  
przez przepaść; olbrzymi wał, częścią naturalny,  
częścią sztucznie zbudowany z nagromadzonych tu  
licznie brył kamieni, stanowi jedyne przejście, któ-  
re ze względu na nierówność jest bardzo niewygo-  
dne i przebycie być może tylko pieszo.

Przez kilka godzin jechaliśmy przez szerokie pola  
pokryte lawą; z prawej strony przytykają do nich  
olbrzymie łąki, z lewej wzgórze oryginalnych kształ-  
tów. Po uciążliwej wędrowce przez czarne ławice  
piaskowe, dostajemy się wreszcie na pola pokryte  
bujną trawą. Oczom naszym przedstawia się bar-  
dzo ciekawy i przyjemny widok. Zbliżamy się do  
znanej z piękności doliny Laugar. Nie jest to wła-  
ściwie dolina w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie  
jest bowiem z obu stron ograniczona górami, lecz  
tylko z jednej, a mianowicie z południowej, podczas  
gdy z północnej przedstawia się jak olbrzymia,  
w dal niezmierną sięgająca płaszczyna.

Liczne, białe słupy dymu, wydostające się tu  
i owdzie z pod ziemi nadają dolinie tej wiele powa-  
bu i oryginalności. Dymy te pochodzą ze źródeł  
gorących, które tu w znacznej liczbie wytryskują  
i od których dolina otrzymała swoją nazwę. *Laug*  
oznacza mianowicie źródło gorące, *hver* źródło  
wrzące. Islandya jest w źródła takie również boga-  
ta jak i w kraterzy wulkaniczne. To też spotykamy tu  
bardzo wiele nazw miejscowości, których pierwia-  
stek stanowi wyraz *laug*; topografia Islandyi zna-  
lich przeszło 40, między niemi 5 dolin Laugar.  
Jeszcze częściej spotykamy się z nazwami miejsc-  
owości zaczynającemi się od wyrazu *reyk* (dym, dy-  
mić); wyżej wspomniana topografia wylicza ich oko-  
ło 80; samych miejscowości o nazwie Reykir  
jest 18.

Gdy okolice tę przejeżdżał, wzbijał się dym  
z licznie rozsiątych tu źródeł prosto w górę; w po-  
wietrzu panowała zupełna cisza; powłoka chmur  
stawała się wprawdzie coraz grubsza, cała ta je-  
dnak senność, która ogarnęła naturę zdawała się  
zapowiadać niedaleką zmianę pogody i dostrajała  
się bardzo do charakteru okolicy. Najłżejszy wiet-  
rzyk nie poruszał zwierciadlanej powierzchni wi-  
dniejących zdała olbrzymich jezior Laugarvatn  
i Apavatu; rozsiane w dolinie, bujną zielonością po-  
kryte osady i zabudowania wyglądały również jak  
półsenne; w dali, na przeciwnym brzegu rzeki Bru-  
ar wznosił się olbrzymi, znacznie większy, niż inne,  
słup dymu; to źródło Reykaver, największe z wrzą-  
cych źródeł tej okolicy.

Po całogodzinym wypoczynku opuściliśmy oko-  
ło godz. 12-iej brzeg jeziora Laugarvatn. W ciągu  
kilku następnych godzin droga prowadziła wzdłuż  
doliny Laugar przez płaskie, bujną zielonością po-  
kryte i licznymi strumieniami poprzerywane pola,  
otoczone uroczymi stokami lasem porośniętych gór.  
Minęliśmy kościół w Middal, rodzoną siostrzycę te-  
go, który widzieliśmy w Thingvalli; taki sam czar-  
ną papą pokryty budynek drewniany, z trzema bia-  
łymi oknami od frontu i taką samą miniaturową  
wieżyczką na szczycie.

Przyłączył się niestety do nas teraz natrętny to-  
warzysz, który nas już w dalszej podróży nie o-  
puszczał i który nam popsuł całą przyjemność, jak-  
iej się po tej wędrowce spodziewaliśmy. Był nim  
deszcz. Z początku zaczął rosić bardzo skromnie;  
jedna kropelka, potem dwie, potem trzy. „To pe-  
wno tylko wybryk niestałej pogody,“ szeptęła mi  
nadzieja; wkrótce jednak nie można się już było  
spadających kropel dorachować i nadzieja zmiany  
na lepsze znikła zupełnie. Był to początek okresu  
deszczowego, zwykłego o tej porze w Islandyi.

Po południu dotarliśmy do jednego z najcieka-  
wszych miejsc, jakie w ciągu tego dnia spotkali-  
śmy, a mianowicie do przejścia przez rzekę Bruar.  
Rzeka jest w tem miejscu bardzo szeroka i z wyjąt-  
kiem środkowej części tak płytka, że można ją  
przejść w bród. W środku rzeki utworzyła się głą-  
boka przepaść, do której woda spływała ze wszyst-  
kich stron w pięknych kaskadach. Przez tę prze-  
pascie rzucony jest most około pięciu metrów długi.  
Chcąc się dostać na drugi brzeg, trzeba rzekę prze-  
być w bród, aż do mostu a przejechawszy go, zno-  
wu wjechać w wodę. Podczas wiosennych rozto-  
pów, część mostu stoi pod wodą.

Niektórzy podróżni starali się w opisach swoich  
przedstawić przejście przez ten most jako coś nie-  
zwykle trudnego i niebezpiecznego, jak jaką karko-  
łomną sztukę, à la przejście Blondina przez wodo-  
spad Niagary. W rzeczywistości jednak ma się  
rzeczą całkiem inaczej, i podróżny, przebywający  
most ten 10 łokci szeroki i otoczony z obu stron  
silnymi poręczami, nie wystawia bynajmniej życia  
swego na niebezpieczeństwo.

Zamiar mój odfotografowania mostu spełził na  
nieczem; nie powiodła mi się również próba odzy-  
skania dobrego humoru; jedno i drugie rozbiło się  
o ulewny deszcz, jakim nas teraz niebiosy darzyły.  
Ruszyliśmy więc dalej i po krótkiej wędrowce do-  
tarliśmy do przywoitej osady Muli, oddalonej o mi-  
le od źródła Geysir. Osada ta wyglądała tak pona-  
tnie, wzbijający się z kominów gęsty dym tak prze-  
konywająco zdawał się przemawiać do zgłodniałych  
i tak gościnnie zapraszać do wypoczynku, że po-  
stanowiłem zatrzymać się tu na chwilę, pomimo że już  
bardzo niewielka przestrzeń oddzielała mnie od ce-  
lu podróży.

Ledwieśmy po krótkim wypoczynku opuścili Mu-  
li, znaleźliśmy się na terytorium źródła Geysir; po-  
znać je można łatwo po olbrzymich w górę strzela-  
jących słupach dymu. Wkrótce staliśmy w samym  
środku całej masy tych źródeł, tuż przed nami  
sterczał wielki, szary, stożkowaty pagórek. To ba-  
sen sławnego Geysiru.

Izaak udał się wraz z końmi do oddalonej o pół  
mili osady Haukaadal, by ztamtąd przynieść namiot,  
w którym podczas pobytu mego u źródła zamieszka-  
ć miałem. Półtorej godziny czekałem na niego  
w deszczu i chłodzie.

Wszystko dokoła, spowite w deszczu i mgłę, wy-  
glądało dziwnie brzydko i smutno. Nie mogłem  
się dopatrzeć tej tak powszechnie zachwalanej pię-  
kności Geysiru; wiatr mącił powierzchnię wody  
i gnał na wszystkie strony sodą przesiąkniętą wyzie-  
wy. Próbowałem odszukać źródło Strokkur, drugie  
największe po Geysirze; w pamięci tkwił mi dokła-  
dny obraz, jaki widywałem w licznych ilustracjach,  
żadne jednak źródło nie przypominało go. I do-  
piero z pomocą mapki udało mi się odszukać to  
źródło; wtedy przekonałem się, że jest ono tak po-  
dobne do widzianych przezemnie ilustracji, jak  
ptak do ryby.

Doczekałem się wreszcie powrotu Izaaka. Usta-  
wienie namiotu zajęło niewiele czasu; był on tak  
obszerny, że mógł wygodnie pomieścić 20 ludzi.  
Dwa worki napełnione sianem i przykryte moim  
plaidem podróżnym stanowiły łóżko, siodło służące  
miało za poduszkę. Posłałem następnie Izaaka do



pobliskiej osady Laug, z kąd przynieść mi miał kociołek i wiadro, przyrządy niezbędne w moim samotnym życiu. Izaak przeniósł pobyt w wygodnym Haukadal nad piękności źródeł i namiotu; przekonałem się następnie, że miał w tym względzie zupełną rację.

Po odejściu jego zabrałem się do przyrządzenia kolacji. Hermetycznie zamkniętą puszkę z kotlekami, zanurzyłem, przytwierdziwszy do niej poprzednio sznurek, w zielonkowate źródło Blesi; drugi koniec sznurka umocowałem na brzegu. Kociołek napełniony zimną wodą zanurzyłem we wrzące źródło; po kilku minutach woda zagotowała się. Przy pomocy puszki z ekstraktem Liebiga przyrządzić mogłem teraz kilka filiżanek bulionu. W niespełna 15 minut i kotlety były gotowe, a smakowały wybornie. Kilka szklanek gorącego grogu dopełniło improwizowanej wieszery, do której brakowało mi tylko wesołego towarzystwa.

Nadszedł wreszcie czas spoczynku; położyłem się, lecz nie spałem; z cygarem w ustach, zajęty lekturą oczekiwałem z niecierpliwością, czy nie usłyszę huku podziemnego, który, jak słyszałem i czytałem, towarzyszyć ma zawsze wybuchom Geysiru. Cygaro wypadało mi kilkakrotnie z ust; nie z przestrachu jednak, lecz ze zmęczenia i senności; czekałem kilka godzin napróżno, usnąłem wreszcie, nie doczekawszy się niczego, ani huku podziemnego, ani wybuchu, ani żadnego innego ciekawego zjawiska.

W ciągu następujących trzech dni żyłem jak prawdziwy pustelnik, nie opuszczając namiotu. Trzy długie, monotonne i nudne dni! Nie tylko deszcz, deszcz i jeszcze raz deszcz! Kiedym się po zimnej i źle na mokrem łożu przespanej nocy wreszcie budził, — wszystko dokoła mnie przesiąknięte było wilgocią. Przeciekający przez namiot deszcz utworzył dokoła mnie formalne jeziora. Na dobitkę niezszczęścia zęby moje w bolesny sposób objawiały protest przeciw tego rodzaju willegiaturze. I mało brakowało, a byłbym przeklinał siebie nie tylko za to, że się tu wybrałem, ale że w ogóle na świat przyszedłem.

Wszystkie źródła, — a jest ich około 50, — leżą na płaskiej, długiej pochyłości, rozciągającej się w kierunku zachodnim od góry Laugafell. Na ilustracjach przedstawiających Geysir, góra ta wygląda tak, jakby była bardzo wysoka w rzeczywistości jednak sięga ona co najwyżej 30 m. nad poziom morza. Terytorium, które cała gromada tych źródeł zajmuje, nie jest bardzo wielkie, ma bowiem zaledwie 700 m. długości, a 300 m. szerokości. Pokryte jest przeważnie czerwono-żółtym piaskiem, a tuż koło źródeł szarym szutrem. Gdziekolwiek dojrzeć można małą przestrzeń, pokrytą trawą; największa z nich jest ta, na której zwykle namiot bywa rozbijany. Podnóże góry Laugafell pokryte jest czerwonym i żółtym lub czerwono-żółtym piaskiem zmieszany z gliną. Czerwony kolor przeważa w ogóle w tej części Islandyi, w której się znajdują gorące źródła.

Geysir, „wielki Geysir,“ „król wszystkich Geysirów“ leży w najbardziej ku północy wysuniętej części zajętej przez źródła. Podróżny, który tu przybywa w nadziei obaczenia tego pięknego widowiska, tylekroć opisywanego, dozna bardzo niemiłego rozczarowania.

Basen Geysira, różny tak co do formy jak i co do wielkości od basenów wszystkich innych źródeł, ma mniej więcej kształt wulkanu. Z biegiem czasu utworzyło się dokoła niego z szutra wzniesienie stożkowate, wystające na 2 metry po nad powierzchnią ziemi.

Płaskie, okrągłe łożysko ma 15 m. średnicy, a głębokości w samym środku 2 metry. W samym środku dna znajduje się cylindrowaty otwór na 3 m. szeroki, sięgający 20 m. w głąb ziemi. Ze-

wnętrzną stroną basenu ma kolor szary od nagromadzonego tu szutru. Dno jest niekiedy koloru białego, zwykle jednak ma tę samą barwę, co i strona zewnętrzna. Stózkowaty ten basen wypełnia po same brzegi gorąca, ale spokojna woda koloru niebieskawo-zielonego; miejsce w dnie, w którym znajduje się otwór, łatwo odróżnić po ciemniejszym zabarwieniu wody. Przez otwór ten woda dopływa nieustannie do basenu, który ma jeden lub kilka odpływów. Temperatura wody wynosi na powierzchni 80 do 90° Celsjusza.

Podczas całego mego pobytu u źródeł Geysira nie miałem ani razu sposobności obserwowania tych małych wybuchów, do których się to niegdyś tak czynne źródło obecnie ogranicza.

Wybuchy te poprzedza zwykle lekkie trzęsienie ziemi i słaby huk podziemny, podobny do huku dalekiego strzału armatniego.

Ileokroć huk taki dosłyszałem, natychmiast wbiegałem z mego namiotu, którego drzwi wychodziły w stronę źródła; zrazu myślałem w prostocie ducha, że będę może świadkiem jednego z większych wybuchów. To jednak, co widziałem nie przedstawiało nic szczególnego. Za każdym razem woda w tem miejscu, w którym był otwór w dnie, wznosiła się na kształt kopuły, a następnie opadała z szumem, przelewając się przez brzegi, wydzielając przytem olbrzymie chmury dymu. I to było wszystko, taki widok czeka każdego żadnego wrażeń turyste.

Olbrzymie wybuchy, przy których woda wytryska nieraz do wysokości 30 m. lub nawet wyżej, ustały raz na zawsze. W r. 1770 zjawisko to miało miejsce raz na dzień, w r. 1814 wybuch następował co sześć godzin.

Za naszych czasów podoba się Geysirowi zaledwie raz na trzy tygodnie dać takie przedstawienie; to też turystę udającego się tu tak jak ja na los szczęścia spotkać musi bardzo niemiłe rozczarowanie.

Przypatrzmy się teraz rodzonemu bratu Geysiru, nie mniej sławnemu Stokkrowi. Słowo „Stokkr“ oznacza tyle, co masielnica, a otrzymała ją to źródło z powodu kształtu basenu przypominającego ten sprzęt.

W obec nieczynności Geysira musi Stokkr sam jeden podtrzymywać dobrą sławę tych źródeł, choć i temu to, jak się później przekonamy, niezbyt łatwo przychodzi.

Basen jego ma szerokości 2½ m. w dnie znajduje się otwór prowadzący prostopadle w ziemię. Jaka jest głębokość tego otworu, nie można było dotąd zbadać, po 13 m. bowiem zwęża się, uniemożliwiając pomiar. W normalnych warunkach stoi brunatno-żółta woda tego źródła 3 m. poniżej powierzchni otworu, gotując się, kłębiąc i pieniąc bezustannie.

W dawniejszych czasach był Stokkr równie jak i Geysir dobrowolnie wybuchającym źródłem, obecnie dobrowolne te wybuchy trafiają się nader rzadko, co najwyżej raz w ciągu zimy. Dziś trzeba sztucznych środków, ażeby go wyrwać z tej bezczynności.

W szkole uczyliśmy się, że wystarcza wrzucić weń kilka kamieni, ażeby go zmusić do wybuchu, w dzisiejszych czasach wymaga on silniej działających emetyków. Podczas mego tu pobytu starałem się go co najmniej 12 razy zachęcić do skakania. Kosztowało mnie to wprawdzie za każdym razem dwie korony, paliła mnie bowiem ciekawość dowiedzenia się, jak się źródło w tym wypadku zachowa. Nic to jednak nie pomogło.

(Dokończenie nastąpi).

## Kronika działalności kobiecej.

— Hrabina Zyberg Plater zamieszkała w gubernii kurlandzkiej, meble koszykowe, a pochodzące z jej fabryki, nadesłane na wystawę meblowań stylowych w Muzeum przemysłu, ofiarowała warszawskiemu Towarzystwu dobroczynności.

— Angielski Minister spraw wewnętrznych, Sir Mathew White Rydley mianował dotychczasową inspektorę fabryczną pannę Mary Abraham nadinspektorą; jest ona córką członka parlamentu. System powierzenia czynności inspektorów fabrycznych kobietom okazał się w Anglii praktycznym i stanowczo utrzymany zostaje.

— Stowarzyszenie pracy kobiet w Berlinie zwane Letteverein, które otrzymało wiele odznaczeń za swoją działalność na polu popierania wyższego wykształcenia i uzdolnienia kobiet do pracy produkcyjnej wystąpiło na obecnej wystawie w Berlinie z wielu interesującymi działami świadczącymi o doskonałości jej zakładów naukowych. W oddziale szkolnym znajdują się wystawione prace uczennic szkoły: rzemiosł, kucharstwa, robót ręcznych, rysunków fotografii, handlu, gospodarstwa domowego i zecerstwa. Szczególne zainteresowanie budzą prace zakładu sztuki stosowanej.

— Liczba studentek berlińskiego uniwersytetu wzrosła do 60-ku w ostatnim półroczu na 35. Powodem jest utrudniony wstęp. Chcąc uczęszczać na uniwersytet musi otrzymać: 1. Pozwolenie ministra oświaty. 2. Pozwolenie rektora. 3. Zgodzenie się docenta, którego odczytów chce być słuchaczką. Pozwolenie to musi być co pół roku wznawiane, — i otrzymuje się tylko po zdaniu egzaminu.

— Powierzenie zarządu bibliotek w ręce kobiet znajduje w Anglii coraz szersze zastosowanie. Jako przygotowanie dobre wykształcenie gimnazjalne jest uważane za dostateczne. W People's Palace znanym londyńskim ludowym zakładzie naukowym mianowano obecnie kilka bibliotekarek, jak również przy większych prywatnych bibliotekach. Otrzymują one od 1,200—3,000 marek. W Ameryce od 1,500—8000. Mają prócz tego dodatkowe wynagrodzenie za sporządzanie katalogu.

— Zofia Keller jest pierwszą kobietą w Danii która utworzyła orkiestrę ze samych artystek.

— W Abissynii podczas wojny z Menelikiem w oddziale czerwonego krzyża zajmowała się nader czynnie odważna filantropka Sarzano. Przebywała w Afryce od początku wojny, brała udział w bitwie pod Aduą a następnie udała się do Adigratu, opuściwszy twierdzę wraz z rannymi udała się do Asmary. Znosiła ona poświęcając się swej szlachetnej myśli, ciężkie braki i niewygody.

— W Hiszpanii widać ciągle postęp kobiet w wykształceniu naukowym. Dwom młodym hiszpankom Esterze Alonso i Juliannie Campo, które do studyów uniwersyteckich przygotowały się w międzynarodowym instytucie wyższego wykształcenia kobiet w San Sebastian, zostającym pod kierunkiem amerykańki Alisy Gandon Gulisch, przyznał obecnie uniwersytet w Madrycie najwyższe odznaczenie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 17-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

**TREŚĆ:** Świat, przez Szczęsną. — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Białka, przez Ernesta Świeżawskiego (dokończenie). — Siostry Napoleona, przez Anatola Krzyżanowskiego (dalszy ciąg). — Promyk szczęścia. Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj. — Wycieczka na Islandyę (Szkic z podróży). — Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 17-ty. — Przegląd mód. 38 wzorów i robót z opisem. Sekretarza gospodarskie. — Dyspozycya stołu.